

BP PIOTR JARECKI

TOMASZ KRZYŻAK

OBUDZIĆ PROROKÓW

ROZMOWY O KOŚCIELE, POLITYCE I ŻYCIU W PRAWDZIE

WYDAWNICTWO WAM

© Wydawnictwo WAM, 2020
© Libreria Editrice Vaticana, 2020

Opieka redakcyjna: Sławomir Rusin
Redakcja: Krzysztof Bernas
Korekta: Katarzyna Onderka, Dariusz Godoś
Skład i opracowanie graficzne: Dawid Adrjanczyk
Projekt okładki: Katarzyna Legendź
Fotografia na froncie okładki: Grażyna Makara
Fotografia na 4 stronie okładki: z arch. Tomasza Krzyżaka

ISBN 978-83-277-25691

WYDAWNICTWO WAM
ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków
tel. 12 62 93 200
e-mail: wam@wydawnictwowam.pl

DZIAŁ HANDLOWY
tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496
e-mail: handel@wydawnictwowam.pl

KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA
tel. 12 62 93 260
www.wydawnictwowam.pl

Druk i oprawa: GRAFARTI • Łódź

Publikację wydrukowano na papierze IGEPA super brite 70 g vol. 2.0
dostarczonym przez IGEPA Polska Sp. z o.o.

SPIS TREŚCI

Rozdział 1. NATURALNE ŚRODOWISKO	7
Rozdział 2. BISKUP TEŻ CZŁOWIEK	35
Rozdział 3. KOŚCIÓŁ I POLITYKA	77
Rozdział 4. UŚPIENI PROROCY	119
Rozdział 5. „WASZ PAPIEŻ, NASZ KOŚCIÓŁ”	149
Rozdział 6. SUMIENIE KOŚCIOŁA	181
Rozdział 7. NADUŻYCIA I NAWRÓCENIE	209
Rozdział 8. GDZIE SIĘ SKRYWA PATRIOTYZM?	243
Rozdział 9. GENDER, RODZINA I KOŚCIÓŁ	271
Rozdział 10. PCHNIĘTY PRZEZ BOGA	303
Postscriptum	335

ROZDZIAŁ 1

NATURALNE ŚRODOWISKO

W jednym z księdza biogramów znalazłem takie stwierdzenie: „wychowywany w środowisku klasztorным”.

(śmiech) Pompatycznie. Wprawdzie sam bym tak nie napisał, ale to po części prawda. Rzeczywiście życie mojej rodziny było związane z klasztorem Benedyktynek w Sierpcu. Od sześciuset lat znajduje się tam cudowna figura Matki Bożej z Dzieciątkiem i Sanktuarium Matki Bożej Sierpeckiej. Moi rodzice mieli szczególny kult do Matki Bożej i w tym klasztorze całą naszą trójkę – starszego brata, starszą siostrę i mnie – oddali w Jej opiekę, kiedy byliśmy niemowlętami. Potem służyliśmy tam z bratem do mszy, a mama śpiewała w chórze. Księża często odwiedzali naszą rodzinę, byli z nami zaprzyjaźnieni.

Czyli od dzieciństwa szykowany był ksiądz do stanu duchownego.

Przesada. Jako dziecko wcale o tym nie myślałem, rodzice też mnie do niczego nie namawiali. Choć związki z tym kościołem klasztorным, kościołem rektorskim, bo wtedy jeszcze parafii tam nie było, miałem dość bliskie. Chyba w trzeciej albo czwartej klasie podstawówki zostałem tam organistą.

Jak się to udało chłopcu w tym wieku?

Śpiewałem jako ministrant i zwrócił na mnie uwagę organista z kościoła farnego pan Mieczysław Piotrowski – słynna postać w Sierpcu. Powiedział rodzicom, że dostrzeżę we mnie pewne uzdolnienia i chce mnie uczyć. Pierwsze lekcje odbywały się u niego w domu, a potem rodzice kupili pianino, pamiętam, że był to instrument Jost, i pan Piotrowski zaczął przychodzić do nas. Nie za bardzo to lubiłem, ale jakoś szło. Zacząłem też grać na mszach, a już jako starszy chłopak prowadziłem chór. Dlatego codziennie bywałem w kościele.

Nikommu nie przeszkadzało, że w kościele gra smarkacz?

Organista pokłócił się o to z księdzem Janem Sucharzewskim, marianinem, który wtedy posługiwał w klasztorze. W kościele były organy, oczywiście na chórze, ale nie za bardzo nadawały się do użytku, dlatego siostry postarały się o fisharmonię, która stanęła w prezbiterium. Organista naciskał, żebym na niej grał i prowadził śpiew w kościele, a ten bardzo pobożny kapłan nie chciał się na to zgodzić. Twierdził, że ludzie w czasie mszy nie będą patrzyli na ołtarz i księdza, tylko na grającego chłopca. Myślę, że to był jeden z powodów, dla którego wyremontowano w końcu organy. A na chórze była klauzura, ponieważ benedyktynki to siostry klauzurowe, i żeby tam wejść, musiałem mieć specjalne pozwolenie od biskupa płockiego. Ale takie pozwolenie załatwiono, a kiedy zaczął działać chór, to zrobiono drewniane przepierzenie oddzielające część klauzurową od tej dostępnej dla

wiernych. Nieraz zerkalem na siostry i do dzisiaj pamiętam srogą minę matki ksieni. Jeśli pan Piotrowski był na chórze, próbował się jej odwzajemnić tym samym. Było to bardzo śmieszne.

Ksiądz się właściwie wychował w kościele. I wydaje mi się, że miało to duży wpływ na wstąpienie do seminarium.

Wychowywany byłem w rodzinie, natomiast miałem bliski kontakt z kościołem. Nigdy o tym nie myślałem, ale może ma pan rację, tamte doświadczenia mnie w jakiś naturalny sposób ukierunkowały i dzięki nim później zostałem księdzem. Nie wiem. Niektórzy kapłani bardzo mi imponowali. Duży wpływ na moje powołanie kapłańskie mieli na pewno ojcowie redemptoryści. Na początku lat siedemdziesiątych w czasie misji, które prowadzili w Sierpcu, zaprosili grupę chłopców na tak zwane rekolekcje powołaniowe do Tuchowa. Wśród nich byłem i ja. Po raz pierwszy w życiu brałem wtedy udział w spływie Dunajcem. Potem ojcowie utrzymywali z nami kontakt listowny. I tak się zaczęło.

Niewiele brakowało a byłby ksiądz współbratem zakonnym ojca Tadeusza Rydzyka...

Nawet miałem wstąpić do redemptorystów. Ale wyszło inaczej.

Daleko miał ksiądz do kościoła?

Do benedyktynek jakieś półtora kilometra. Wtedy w Sierpcu były cztery kościoły: benedyktynki, dawny kościół szpitalny pod wezwaniem Ducha Świętego, kościół św. Stanisława Kostki, zwany szkolnym, i fara, ze słynnym proboszczem, księdzem kanonikiem Janem Krawczyńskim. Znał się dobrze z moim ojcem. Zresztą nie tylko on. Pogrzeb taty zapamiętano w Sierpcu na długo.

Dlaczego?

Najpierw zrobię krótki wstęp. W czasie wojny ojca wywieziono na roboty do Niemiec, gdzie pracował w masarni i sklepie mięsnym. Kiedy ruszył front wschodni, właściciela wzięli do wojska i ojciec ten zakład *de facto* prowadził. W 1945 roku wrócił do Polski i zatrudnił się w gminnej spółdzielni jako szef masarni. Odszedł, zdaje się, w czasie tak zwanej afery mięsnej, a później został kierownikiem dużego magazynu z materiałami budowlanymi. To był bardzo wierzący człowiek, można nawet powiedzieć, że miał wiarę dziecka, niczym niezmaconą. W czasach komuny wszystko było reglamentowane, materiały budowlane tylko z przydziału, a ojciec potrafił wagon cegły czy potrzebnego żelastwa wysłać na budowę kościoła. Księża byli mu bardzo wdzięczni, wiedzieli, że Józef Jarecki zawsze sprawę załatwi. Dlatego byliśmy w dobrych relacjach z sierpeckimi i okolicznymi kapłanami.

Przejdźmy teraz do pogrzebu taty.

To była taka manifestacja ze strony kościelnej. Na pogrzeb przyjechali chyba wszyscy księża, którym ojciec pomógł. Nie wiem, czy ktokolwiek inny w tamtym czasie był żegnany tak uroczyście.

Tata nigdy nie ukrywał swojej wiary i ceniono go za to. Pamiętam, jak w swoim biurze, gabinecie szefa wielkiego magazynu, powiesił krzyż. Prezesowi GS-u się to nie podobало, a miejscowi działacze partyjni naciskali, by krzyż usunąć. Było nie do pomyślenia, by w systemie socjalistycznym jakiś kierownik zrobił coś takiego. A ojciec mówił tak: „Ja krzyż zawiesiłem, ale ja go nie zdejmę. Jak pan prezes czy szef Podstawowej Organizacji Partyjnej chcą, mogą sami to zrobić. Ale uważajcie, nie tacy podnosili rękę na krzyż i każdemu z nich uszła, źle skończyli. Pamiętajcie, z kim zaczynacie bój”. I krzyż wisiał. Takim człowiekiem był tata. To był prawdziwy akt odwagi, zwłaszcza że był trochę na cenzurowanym.

To znaczy?

Wspomniałem już, że zanim został szefem magazynu budowlanego, kierował masarnią. I tam przychodzili różni ludzie szukający zagrychy do swoich buteleczek z wódką. Ojciec się stawiał, więc ukartowali spiszek. Zarzucili mu, że źle prowadzi zakład, była jakaś pokazówka. Udało mu się z tego wybrnąć, ale zaraz potem wybuchła słynna afera mięsna, mieliśmy nawet w domu rewizję. Ojcu nie postawiono żadnych zarzutów, ale z pracy

w masarni odszedł. Muszę dodać, że z partią nigdy nie miał nic wspólnego.

A co robiła mama?

Zajmowała się domem. Z zawodu była krawcową, czasem coś nawet komuś szyła, ale generalnie prowadziła dom. Nieraz trochę ponarzekała, że chętnie by poszła do pracy, ale tak naprawdę akceptowała sytuację, w której to ojciec zarabia na utrzymanie rodziny.

Dzięki temu mieliście z bratem i siostrą doskonałą opiekę.

To na pewno. Ale ja, szczerze mówiąc, chyba byłem wychowywany jak jedynak. Nieźyczliwi by powiedzieli, że do dzisiaj to widać.

Duża była między wami różnica wieku?

Brat jest starszy o siedem lat, siostra o pięć. W dorosłym życiu te różnice się zacierają, ale w dzieciństwie są bardzo widoczne. Gdy brat zaczynał studia na Politechnice Gdańskiej, miałem dwanaście lat. Nie było specjalnie o czym gadać. Pamiętam, że kiedy przyjeżdżał na sobotę i niedzielę, to po mszy szliśmy na mecz piłki ręcznej. W tamtych czasach Wisła Płock i Start Sierpc to były liczące się drużyny, przynajmniej w regionie.

Niedawno znalazłem zdjęcie z tamtego czasu. Brat w garniturze i krawacie, wysoki, szczupły, razem z nim jeszcze dwóch takich kawalerów, a obok ja, kmiot w krótkich spodniach. Dla nich byłem po prostu dzieckiem.

Dziecko, ale już organista w kościele, czyli ważna persona. Byle komu grać nie dają.

Może i byłem ważną osobą, chociaż nie wiem, czy mi to wyszło na dobre. Niewątpliwie dzięki temu nie boję się publicznych występów. Uważam, że organistą okazałem się jednak miernym. Za mało ćwiczyłem, byłem zbyt leniwy. Miałem ochotę odpuścić sobie te lekcje z organistą, ale przecież rodzice za to płacili i nawet kupili drogie pianino, więc się starałem. Ale chyba za mało.

Grywa ksiądz jeszcze czasami?

Nie. W seminarium w Płocku, gdzie spędziłem dwa lata, zdarzało się to dość często, ale w Warszawie już rzadko. Potem grałem jeszcze w kaplicy Instytutu Polskiego w Rzymie podczas kolejnych studiów. Ku zadowoleniu ówczesnego rektora Instytutu księdza infułata Franciszka Mączyńskiego. Chyba właśnie za to mnie trochę polubił.

Do liceum chodził ksiądz w Sierpcu?

Tak, byłem w klasie matematyczno-fizycznej. Przedmioty humanistyczne stanowiły dla mnie spory problem. Z językiem polskim szło mi ciężko. Z rosyjskim zresztą też.

A po maturze od razu seminarium?

Dla zmylenia władzy złożyłem dokumenty na Politechnikę Gdańską, ale do egzaminu nie przystąpiłem. Wcześniej skończył tę uczelnię mój brat, siostra też studiowała w Gdańsku. W Trójmieście mieszkała moja dalsza rodzina. Liczna rodzina mojego szwagra też stamtąd pochodzi. Kiedy zmarli ojciec i szwagier, mama z siostrą sprzedały dom w Sierpcu i przenieśli się do Gdyni. Mieszkają na Wybrzeżu już ponad dwadzieścia lat. W Gdyni jest także mój brat z rodziną.

W Sierpcu nie ma już nikogo z Jareckich?

Groby zostały.

Rodzice pochodzili z tego miasta?

Ojciec mieszkał, jak się mówiło, na Rumunkach, na obrzeżach. A mama pochodzi z bardzo urokliwej wioski o nazwie Łukomie, leżącej dziewięć kilometrów od Sierpca. W czasie wojny przymusowo pracowała w niemieckiej szwalni w mieście i do pracy chodziła na piechotę.

Opowiadali o pierwszym spotkaniu?

Poznali się przypadkiem. Po powrocie z niewoli ojciec wynajmował sady i utrzymywał się ze sprzedaży owoców. Gdy pewnego razu jechał na rowerze w poszukiwaniu kolejnych działek, akurat koło posesji moich dziadków przebił dętkę. Zaszedł do ich gospodarstwa i spotkał mamę. Wpadli sobie w oko...

I zaczął częściej przyjeżdżać na rowerze do tego gospodarstwa.

Potem to nawet motocyklem, takim z koszem. Przywiózł sobie ten pojazd z Niemiec. Stał u nas w stajni i czasem z bratem próbowaliśmy go uruchomić.

Oprócz grobów nic już księdza z Sierpcem nie łączy?

Nic. Siostry benedyktyнки i księża, których znałem, nie żyją. Jeżdżę tam od czasu do czasu w rocznicę śmierci ojca, żeby się spotkać z rodziną i odprawić mszę. Ale na cmentarz też nie zaglądam często. Pomodlić za zmarłych mogę się i w Warszawie czy w Gdyni, gdzie częściej jeżdżę niż do Sierpca. Przecież wierzymy w świętych obcowanie.

Wróćmy do momentu wstąpienia do seminarium. Wybór padł na Płock.

To był 1974 rok. Chciałem studiować w Warszawie, młodego człowieka ciągnęło do stolicy, ale gdy pojechałem z papierami, ówczesny wicerektor, późniejszy biskup Stanisław Kędziora, poprosił o opinię od proboszcza. I okazało się, że proboszcz w Sierpcu dokumentu nie wyda, bo jest zarządzenie biskupa plockiego, by odmawiać chłopakom, którzy chcą iść do seminariów poza Płockiem. Dał mi tylko jakieś zaświadczenie. Wsadził mnie do samochodu i zawiózł do Płocka.

Ostatecznie skończył ksiądz jednak studia w Warszawie. Z Płocka wyrzucili?

Odszedłem z Płocka po drugim roku sam. To była dość złożona sytuacja, taki życiowy zakręt. Zabrałem papiery i przyjechałem do stolicy. Rektorem był wtedy ksiądz Kazimierz Romaniuk – później wieloletni biskup pomocniczy w Warszawie, a następnie pierwszy ordynariusz diecezji warszawsko-praskiej – i to z nim rozmawiałem. W seminarium, w dokumentach z rekrutacji sprzed dwóch lat, był ślad po mojej rozmowie z księdzem Kędziorą, ale rektor zaznaczył, że musi się w mojej sprawie skonsultować z kardynałem Stefanem Wyszyńskim. To, że mnie przyjęli w Warszawie, było jego decyzją i jestem mu ogromnie wdzięczny, że się zgodził. Pamiętam, że zdarzały się zabawne sytuacje. W Warszawie klerycy otrzymywali sutanny na drugim roku studiów, w Płocku na trzecim, więc byłem jeszcze nieobłóczony. Wszyscy na wykładach w sutannach, tylko

ja jeden – a siedziałem w pierwszej ławce – w marynarce i koszuli. Traktat o wierze mieliśmy z biskupem Władysławem Miśkiewiczem i za każdym razem, gdy zaczynał wykład, pytał: „Piotrze, czy ty z KUL-u?”. Jakoś nie mógł zapamiętać, że przeniosłem się z Płocka.

Na którym roku założył ksiądz sutannę?

Dopiero na czwartym, bo musieli mnie sprawdzić. Ci, którzy zmieniają seminarium, nie mają najlepszej opinii. Dziś też się takim klerykom uważnie przyglądamy, bo są ludzie, którzy nie mogą nigdzie zagrać miejsca, krążą, szukają. Trzeba im się dobrze przyjrzeć.

Biskup płocki nie miał pretensji, że ksiądz opuścił jego seminarium?

Nie wiem, może miał, ale ja się z nim nie spotkałem w tej sprawie. Może rozmawiał o tym z przełożonymi.

Duże były różnice między seminarium płockim a warszawskim?

Oj, tak. W Płocku to ja się za wiele nie uczyłem, głównie kontynuowałem rozpoczętą w dzieciństwie muzyczną przygodę. Działał tam zespół klerycki Fratres, w którym śpiewałem

i grałem na gitarze. Właściwie co niedzielę gdzieś jeździliśmy, a w seminarium mieliśmy swój pokój prób i tam spędzaliśmy najwięcej czasu. Nie powiem, żeby to była balanga, ale ciągle śpiewaliśmy i większego studium raczej nie było. Tylko przed egzaminami człowiek się uczył po nocach.

Ćwiczyliście przez kolejnymi występami?

Jeździliśmy do wielu parafii w diecezji na tak zwane niedziele powołaniowe. Należało coś powiedzieć o seminarium, zachęcić młodych, żeby odkryli w sobie powołanie, a do tego dochodziło granie i śpiewanie. Na tym skupiałem się w Płocku. Dopiero kiedy przenieśliem się do Warszawy, przekonałem się, co to znaczy solidne studium. Okazało się, że mam spore braki, musiałem na przykład nadrobić łacinę. Wstawiałem o czwartej rano i się uczyłem. Pewnie nie dorównałem najlepszym, ale profesor widział, że robię postępy i się staram, i docenił to przy egzaminie. Poświęciłem się wtedy nauce i porzuciłem muzykę, chociaż czasami grałem jeszcze w kaplicy i kościele seminaryjnym. Potem mi to zupełnie przeszło.

A zatem Warszawa to zupełnie nowy etap mojej formacji. Pracę magisterską pisałem o społecznych wymiarach moralności chrześcijańskiej w nauczaniu II Soboru Watykańskiego. Potem robiłem licencjat pod kierunkiem księdza doktora, obecnego biskupa seniora, Mariana Dusia, poświęcony księdzu Aleksandrowi Wójcickiemu. To był wybitny socjolog dwudziestolecia

międzywojennego, jeden z pierwszych polskich księży, który zrobił doktorat z nauk politycznych i społecznych. Zajmowałem się jego propozycją rozwiązania kwestii społecznej tamtych czasów, szczególnie tej wielkoprzemysłowej klasy robotniczej. A potem, po dwóch latach służby kapłańskiej, pojechałem do Rzymu.

Do tego zaraz dojdziemy. Teraz zastanawiam się nad tym, jak chłopak przychodzący z innego seminarium, będący cały czas pod obserwacją, mógł zostać seniorem roku?

A skąd pan o tym wie?

Popytałem trochę.

No tak, wy, dziennikarze, musicie wszystko wiedzieć.

Ale był ksiądz tym seniorem czy nie?

Pewnie, że byłem. Przez rok. Tyle tylko, że nie od razu po przeprowadzce do Warszawy, dopiero po jakimś czasie, gdy skończył się ten okres baczego przyglądania się mojej osobie (śmiech). Było chyba trzech kandydatów i wybór mnie zaskoczył, bo przecież nie byłem tam od początku. Pamiętam ogłoszenie wyników i dotychczasowego seniora, któremu było trochę smutno. Nie wiem, czy dobrze się wywiązywałem z tego zadania. Trzeba by popytać kolegów.

Wychowawców i wykładowców z seminarium ksiądz pamięta?

Oczywiście. W końcu większość z nich była z naszej diecezji. Rektorem, jak już mówiłem, był obecny biskup senior warszawsko-praski Kazimierz Romaniuk. Cieszył się wielkim autorytetem naukowym jako znany biblista i poliglota. Na szóstym roku naszym prefektem został ksiądz Ryszard Rumianek, późniejszy rektor Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego. Zginął w katastrofie smoleńskiej. Uczyłem go jeździć samochodem, bo kupił sobie czerwonego fiata 126p, a nie miał prawa jazdy. Chyba dzięki mnie udało mu się je zrobić. Pamiętam, że bardzo się przejął rolą prefekta. Miło wspominałem księdza infułata Stanisława Kura. Teologię dogmatyczną mieli z nami biskup Władysław Miziołek, ksiądz Andrzej Santorski i ksiądz Stanisław Kędziora. Ksiądz Romaniuk prowadził też wykłady z Pisma Świętego, a biblistyka była z księdzem Leonardem Ostrowskim i księdzem Romanem Bartnickim. Teologię moralną wykładał ksiądz Bogusław Inlender, wybitny specjalista w tej dziedzinie. Pisałem u niego magisterkę. To była chodząca encyklopedia. Pedagogika to ksiądz Janusz Tarnowski, wspomniały człowiek, zafascynowany Januszem Korczakiem. Wielkie nazwiska.

Miał ksiądz w seminarium wątpliwości co do tego, czy to jest właściwa droga?

Pewnie takie myśli się pojawiały, ale poważniejszych wątpliwości sobie nie przypominam. Chociaż muszę dodać, że wciąż próbuję zrozumieć, czym jest w moim życiu powołanie. Niektórzy moi koledzy mówili, że wstępując do seminarium, od początku byli przeświadczeni, że chcą swoje życie całkowicie oddać Bogu i Kościołowi, i służyć ludziom. Ja tego tak na początku nie widziałem. Miałem znajomych księży i kapłaństwo mi się podobało, i oczywiście chodziło również o Pana Boga, ale było to raczej młodzieńcze zafascynowanie, a nie szczytne ideały. Głębiej kapłaństwa odkrywałem w seminarium, a jeszcze pełniej na studiach w Rzymie. Kierunek był świecki, o Panu Jezusie tam nie rozmawialiśmy, ale prywatny czas poświęcałem na lekturę i odkryłem wtedy swoich duchowych mistrzów. Powoli uświadamiałem sobie, na czym polega istota powołania kapłańskiego. Z biegiem czasu moje powołanie staje się dojrzalsze.

A jak to się stało, że zajął się ksiądz kwestiami społecznymi?

Szczerze mówiąc, to tak do końca nie wiem. Temat pracy magisterskiej zaproponował mi pewnie ksiądz Inlander i od tego się zaczęło. Potem trochę mnie ukierunkował ówczesny rektor seminarium ksiądz Romaniuk. Widocznie dostrzegł, że mam w tym kierunku jakieś zdolności. Wydaje mi się, że to on przekonał prymasa Józefa Glempa, by mnie wysłać na studia z nauk społecznych do Rzymu. Myślę, że dużą rolę odegrał też biskup Duś, promotor licencjatu. Był wtedy proboszczem w Pyrach,

a jednocześnie prowadził u nas wykłady z katolickiej nauki społecznej i umyślił sobie, że jak ja studia w Rzymie skończę, to go zastąpię w seminarium. Pewnie trudno było mu to wszystko pogodzić. Tak wylądowałem w Wiecznym Mieście.

Ale wcześniej była praca na parafii.

Skolimów, parafia Matki Bożej Anielskiej. Od razu głęboka woda.

To znaczy?

Święcenia kapłańskie przyjąłem 1 czerwca 1980 roku i zaraz potem dostałem przydział do Skolimowa. Od końca lat pięćdziesiątych proboszczem był tam ksiądz Szczepan Banasiak, a jego siostra prowadziła mu gospodarstwo. Parę dni po moim przyjeździe okazało się, że proboszcz idzie na emeryturę. Spakował się błyskawicznie i wyjechał. Zostałem sam, bo nowego proboszcza jeszcze chyba nie wyznaczono.

Rzeczywiście ostry start.

Dzisiaj zmiany wikariuszowskie i proboszczowskie są w różnych terminach, ale wtedy odbywały się jednocześnie. Po wieczornej mszy pożegnalnej ksiądz Banasiak od razu wyjechał, a ja zostałem w rozświetlonym kościele tylko z panem Stasiem, najstarszym ministrantem, takim kościelnym trochę. Byłem załamany, nie

wiedziałem, co z tym wszystkim zrobić, nie traktowałem jeszcze tamtej plebanii jako swojego domu. Miałem wtedy dopiero dwadzieścia pięć lat i byłem kilka dni po święceniach. Gdzieś pod koniec czerwca – blisko moich urodzin i imienin – przyjechał do mnie jeden z prefektów w seminarium ksiądz Jacek Bereziński. On mnie podniósł na duchu, dodał otuchy, powiedział, jak się zachować. Potem na szczęście pojawił się nowy proboszcz, ksiądz Czesław Malinowski. Ale i tak ten okres skolimowski był trudny.

Dlaczego?

Pracowałem w parafii i jednocześnie robiłem licencjat. Dużo czasu musiałem spędzić w archiwum diecezjalnym, które znajdowało się nad zakrystią kościoła katedralnego. Gdy tylko nie prowadziłem katechezy, jechałem do Warszawy i zbierałem materiały. Czytałem, robiłem fiszki, a później rozkładałem je na podłodze w swoim pokoju i układałem schemat pracy. Robienie fiszek pozwala syntetyzować materiał, a to bardzo ważne. Dziś prace mają po tysiąc stron, ale często nic nowego w nich nie ma, zwykła kompilacja, często robiona metodą kopiuj–wklej.

Sprawdzał się ksiądz jako nauczyciel?

Wydaje mi się, że nie za bardzo. Katecheza odbywała się w salce przykościelnej, ja zajmowałem się nauczaniem starszych klas, a dzieci do Komunii przygotowywała siostra Joanna Radziszewska,

pasterzanka. Przy pracy z ministrantami pomagał pan Stasio. Na kazaniach dla dzieci wspomagałem się niektórymi homiliami księdza Jana Twardowskiego. Czasami brałem do ambonki gitarę, żeby coś zaśpiewać, jak to młody ksiądz. Zapał był duży.

A potem Rzym i studia z nauk społecznych.

Na Papieskim Uniwersytecie Gregoriańskim. Zacząłem też zajęcia na Angelicum, bo sobie wymyśliłem, że napiszę jednocześnie doktorat z teologii, ale skończyło się na słuchaniu wykładów w języku angielskim i zdaniu kilku egzaminów. Ostatecznie zająłem się tylko naukami społecznymi. Byłem nawet na stypendium na Harvardzie, skąd uciekłem, bo mi się nie podobało. Ale poznałem tam między innymi Stanisława Barańczaka, byłem w jednej parafii w Cambridge Massachusetts, zajrzałem też do Oksfordu oraz Cambridge. Chciałem się trochę otrzeć. Troszeczkę sobie pojeździłem po ośrodkach uniwersyteckich, ale formalnie wciąż przygotowywałem doktorat. Pewnie nigdy bym go nie skończył, gdybym został na Harvardzie. Podczas wizyt w tych ośrodkach naukowych, szczególnie potem na Uniwersytecie Villanova w Filadelfii, dowiedziałem się, że można inaczej rozumieć i przeprowadzać wykłady ze studentami. Wykładowca – profesor nie tyle wyklada jakiś temat a studenci słuchają i notują, co moderuje dyskusję, do której studenci są przygotowani dzięki wcześniejszym lekturom wskazanym przez profesora. Grupy są mniejsze. Wszyscy są aktywni. W dyskusji wychodzi, kto ze studentów zapoznał

się z tematem, kto nie. Bardzo mi się ten styl podoba. To były dla mnie ubogacające wizyty naukowe. Dwa lata pisałem pracę, ale wcześniej przez cztery zajmowałem się jeszcze licencjatem.

Przecież zrobił go ksiądz w Polsce...

Miałem licencjat z teologii, a zacząłem studia na wydziale nauk społecznych. Na Gregorianie musiałem napisać bakalaureat, licencjat i doktorat. W sumie to bardzo dobrze, bo zanim zająłem się nauką społeczną Kościoła, przeszedłem przez podstawy nauk społecznych. Matematyka i demografia, statystyka, ekonomia, makroekonomia i mikroekonomia, socjologia miasta, później prawa człowieka, marksizm, porównawcze prawo międzynarodowe, socjologia rodziny i tak dalej. To wszystko było fascynującym odkrywaniem świata. Ciekawe, że pochodziłem z kraju socjalistycznego, a dopiero w Rzymie poznałem marksizm. Miałem wspañałych profesorów. Szczególnie dobrze wspominam Austriaka Gustawa Wettera, wybitnego znawcę marksizmu. Pamiętam do dzisiaj, jak rozpoczął pierwszy wykład słowami: „Nie ma marksizmu, są marksizmy”. Marksizm przed Marksem, różne fazy marksizmu u samego Marksa i marksizm po Marksie. Kto w Polsce zna marksizm?

Zostały księdzu jakieś znajomości z tamtych czasów?

Właściwie nie. Byłem tam jedynym Polakiem i też może dzięki temu nauczyłem się trochę języka włoskiego. Najdłużej

utrzymywałem kontakt z pewnym Wietnamczykiem, także Piotrem, po licencjacie wyjechał do Japonii, z Hinduską, która uczyła mnie angielskiego. Ludzie się porozjeżdżali i wszystko się urwało. Przez kilka lat kontaktowałem się też z włoskim księdzem Mario Maffiolettim, z którym przeprowadzałem badania społeczne. Dotyczyły wpływu mediów na relacje rodzinne i społeczne.

Po sześciu latach wraca ksiądz, wszechstronnie wykształcony, do Polski. I co się wtedy dzieje?

Gdzie wszechstronnie! Liznałem tylko troszeczkę wiedzy.

To chyba fałszywa skromność.

Szczera prawda. Naukę traktowałem bardzo poważnie, ale nie uważam, że wróciłem z tych studiów jako ekspert od spraw społecznych. Na to trzeba całego życia, a tak naprawdę nigdy się nie wie wszystkiego. A kto traktuje siebie jako eksperta, na pewno nim nie jest.

Wraca ksiądz z Rzymu i...?

Wracałem samochodem, bo udało mi się zarobić na przechodzonego volkswagena golfa podczas wakacyjnych wyjazdów do Niemiec. Warczał głośno, ale mocy nie miał wcale. Pojechałem oczywiście do domu, ale wcześniej powiadomiłem kurię.

I pewnego dnia wezwali mnie do księdza prymasa Glempa. Przyjechałem wieczorem. Prymas patrzy na mój doktorat, potem na mnie i w końcu mówi: „Dobrze, skończyłeś nauki społeczne, to przejmiesz po biskupie Dusiu wykłady w seminarium i na próbę weźmiemy cię do mojego sekretariatu. Zobaczymy, jak sobie dajesz radę z pisaniem. Potrzebujemy człowieka, który zna języki, do korespondencji zagranicznej. Będziesz tu pracował pod kierunkiem księdza prałata Andrzeja Dziuby”. Słowa o próbie trochę mnie zaboląły, do dziś pamiętam, że prymas chciał sprawdzić, czy umiem pisać. On nie owijał w bawełnę.

Długo trwała ta próba?

Sześć lat. A potem zrobili mnie biskupem.

Zaraz, zaraz. Była jeszcze Konferencja Episkopatu Polski, gdzie był ksiądz zastępcą sekretarza generalnego.

Formalnie to był epizod. Ledwie półtora miesiąca.

A nieformalnie?

Zastępcą sekretarza zostałem oficjalnie chyba w marcu 1994 roku, ale trzy lata wcześniej, po tragicznej śmierci biskupa Jerzego Dąbrowskiego, którego czasem nazywano ministrem spraw zagranicznych Episkopatu, przejąłem jego obowiązki. Łączyłem to

oczywiście z pracą w sekretariacie prymasa Glempa. Czuję się tam trochę zagubiony, ale to była moja pierwsza ważna misja. Kontaktowałem się z różnymi ambasadami i może dlatego później prymas zaproponował, żebym został zastępcą sekretarza.

Sekretarzem generalnym był wtedy biskup Tadeusz Pieronek.

Tak, fascynujący człowiek, trzeźwo patrzący na świat. Nie bał się mówić prawdy.

Zacząłem się urządzać w siedzibie KEP, bo miałem się tam przenieść, ale nie zdążyłem. Pewnego dnia wezwał mnie nuncjusz. Coś tam na początku opowiadał, a po pół godzinie wreszcie oznajmił, że Jan Paweł II mianował mnie biskupem pomocniczym w Warszawie. Szok. W kaplicy złożyłem przyrzeczenie, a parę dni później odbyła się konsekracja w katedrze. Potem prymas bądź nuncjusz, już nie pamiętam, zaczęli coś przebąkiwać, że muszę zrezygnować z funkcji zastępcy sekretarza. Chyba im nie pasowało, żeby i sekretarz, i zastępca byli biskupami. I napisałem rezygnację. Chociaż później arcybiskup Tadeusz Gocłowski mówił mi, że list był tak pokrętny i tak „dyplomatyczny”, że nie bardzo wiedzieli, czy naprawdę rezygnuję. Ostatecznie uznali, że tak. W 1996 roku zostałem krajowym asystentem kościelnym Akcji Katolickiej. A potem były kolejne zadania.

Przewodniczący Rady Społecznej Episkopatu Polski przez dwie kadencje, szef zespołu KEP do spraw Unii Europejskiej,

delegat KEP w Komisji Konferencji Biskupów Unii Europejskiej i jej wiceprzewodniczący, członek Papieskiej Rady „Iustitia et Pax”, przewodniczący zespołu przygotowującego wizytę Benedykta XVI w Polsce...

Na brak pracy nie narzekałem.

*Fragment szóstego rozdziału adhortacji apostolskiej Franciszka
Christus vivit (25 marca 2019)*

Czasami widziałem młode, piękne drzewa, wznoszące swe gałęzie ku niebu, stale dążąc wyżej, i zdawały się być pieśnią nadziei. Później, po burzy, opadły bez życia. Nie miały bowiem silnych korzeni, rozpościerały swe gałęzie, nie zapuszczając w glebie głębokich korzeni, i tak uległy atakom przyrody. Dlatego bardzo mnie boli, że niektórzy proponują młodym ludziom budowanie przyszłości bez korzeni, jakby świat zaczął się w tej chwili. Ponieważ „nie jest możliwe, aby człowiek się rozwinął, jeśli nie ma silnych korzeni, które pomagają stać mocno na nogach i trzymać się ziemi. Łatwo jest „latać”, gdy nie ma nic, czego można by się uchwycić, gdzie się zakotwiczyć.

(...) Drodzy młodzi, nie pozwalajcie, żeby wykorzystywano waszą młodość do promowania płytkiego życia, które myli piękno z pozorami. Natomiast umiejcie dostrzec, że istnieje piękno w człowieku pracującym, który wraca do domu brudny i w nieładzie, ale z radością, że zapracował na chleb dla swoich dzieci. Istnieje niezwykle piękno w jedności rodziny zgromadzonej przy stole i przy chlebie hojnie dzielonym, nawet jeśli ten stół jest bardzo ubogi. Istnieje piękno w rozczochranej i już niemłodej żonie, która stale ponad siły i zdrowie troszczy się o chorego męża. Istnieje piękno w wierności małżonków, którzy, chociaż dawno już minął miodowy miesiąc, kochają się nawzajem w jesieni życia, w tych staruszkach, którzy idą,

trzymając się za rękę. Niezależnie od wszelkich aspektów zewnętrznych czy aktualnych mój istnieje piękno w każdym mężczyźnie i kobiecie, którzy z miłością żyją swoim powołaniem osobistym, bezinteresownie służąc wspólnocie, swej ojczyźnie, wielkodusznie pracując na rzecz szczęścia rodziny, angażując się w żmudne, anonimowe i bezinteresowne dzieło przywracania przyjaźni społecznej. Odkrywać, ukazywać i podkreślać to piękno, które przypomina Chrystusa na krzyżu, znaczy kłaść fundamenty prawdziwej solidarności społecznej i kultury spotkania.

(...) Biblia nas wzywa: „Słuchaj ojca, który cię zrodził, i nie gardź swą matką, bo jest staruszką”. Przykazanie czczenia ojca i matki „jest to pierwsze przykazanie z obietnicą”, a obietnica brzmi: „aby ci było dobrze i abyś długo żył na ziemi”.

Nie znaczy to, że musisz się zgodzić ze wszystkim, co mówią, czy też zaaprobować wszystkie ich działania. Człowiek młody zawsze powinien mieć ducha krytycznego. (...) Chodzi tylko o bycie otwartym i podjęcie mądrości, która jest przekazywana z pokolenia na pokolenie, a która może współistnieć z jakimiś ludzkimi biedami i nie powinna zaniknąć w obliczu nowości konsumpcji i rynku.

Światu nigdy nie służyło, ani nie będzie służyło, zerwanie więzi między pokoleniami. Jest to łabędzi śpiew przyszłości bez korzeni, bez zakorzenienia. Jest to kłamstwo, które chciałoby, byś uwierzył, że tylko to, co nowe, jest dobre i piękne. Istnienie relacji międzypokoleniowych sprawia, że we wspólnotach

możliwa jest pamięć zbiorowa, ponieważ każde pokolenie podejmuje nauki swoich poprzedników, pozostawiając w ten sposób dziedzictwo swoim następcom. Stanowi to punkty odniesienia dla solidnego scementowania nowego społeczeństwa. Jak to się mówi: „Gdyby młody wiedział, a stary mógł, nie byłoby nic takiego, czego nie dałoby się zrobić”.

(...) Jeśli będziemy szli razem, młodzi i starzy, to możemy być dobrze zakorzenieni w teraźniejszości, i z tego miejsca spotykać się z przeszłością i przyszłością. Spotykać się z przeszłością, aby uczyć się z historii i leczyć rany, które niekiedy nas uwarunkowują. Spotykać się z przyszłością, aby umocnić entuzjazm, aby marzenia wypuściły pędy, by rozbudzić prorocтва, żeby rozkwiwały nadzieje. Tak więc zjednoczeni możemy uczyć się od siebie nawzajem, rozpalać serca, inspirować nasze umysły światłem Ewangelii i dawać nową siłę naszym rękom.